



4

kwiecień

rok LXV/2025

odrza

miesięcznik



ISSN 0472-5182



04

Nr indeksu 36763X
cena 15 zł (z VAT 8%)

ZMIANY W „ODRZE” • JANKOWIAK: Człowiek z brzytwą • **ŁUCZAK SZUBARTOWICZ:** Gorzkie gody • **URBANEK:** Czy pomagać Ukrainie? **GRYNBERG:** Marzec i nasze losy • **GROCHOWSKA:** Kłopoty z Różewiczem **O sztucznej inteligencji:** DEHNEL, MICHAŁOWSKI, KIRIN • **ZDRODOWSKI FLORCZYK:** Z „DZIENNIKA” • **SUZANNE VALADON** • SOŚNICKI • 8 Arkusz

ła *Stara kobieta z kotem*, obraz przedstawiający spracowaną kobietę na tle ubogiego krajobrazu, potraktowaną tu jako część natury. Natura i człowiek w niej żyjący przewijają się przez całą twórczość artysty – realistyczne i naturalistyczne przedstawienia ludu i przyrody z wczesnego okresu stanowią podstawę dla późniejszych ikonicznych obrazów ilustrujących mit *Kalevala*.

Akseli Gallen-Kallela spędzał lato najchętniej na fińskiej prowincji, gdzie wybudował wśród natury atelier w tradycji karelskiego domu chłopskiego, do którego zaprojektował ręcznie rzeźbione meble i tekstylia, tworząc rodzaj Gesamtkunstwerku. W 1890 roku podjął podróż do Karelii. Stała się ona miejscem nawiązującym do mitycznej przeszłości, którą artysta wizualizował w swojej sztuce, łącząc z prądami modernistycznymi. Ilustrując *Kalevalę*, inspirował się japońskim drzeworytem, a także średniowiecznym malarstwem witrażowym. Do japońskiego drzeworytu odwołał się również po tragicznej utracie czteroletniej córeczki. Swoje przeżycia zawarł w pracach *Kwiat śmierci* oraz *Śmierć i kwiat*, będących lirycznymi refleksjami nad życiem i śmiercią. Również z przedwczesnym odejściem wiązał się projekt wyposażenia mauzoleum Juseliusa w Pori w cykl ośmiu fresków przedstawiających w symboliczny sposób zwycięstwo śmierci nad materią i triumf ducha nad śmiercią. Wielkie kolorowe projekty tych fresków, które były prezentowane na wystawie w wiedeńskiej Secesji, ukazują fińską społeczność i przyrodę złączone w cyklu narodzin, życia i śmierci.

Bez wątpienia wielkim wyróżnieniem dla artysty był udział w Światowej Wystawie w Paryżu w 1900 roku. Wielkie Księstwo Fińskie posiadało

własny pawilon podkreślający dążenia do pełnej niezależności – jego kopułę artysta ozdobił freskami ilustrującymi sceny z *Kalevali*, oprócz tego zaprojektował meble i tekstylia do jednego z pomieszczeń prezentujących wyroby warsztatów rzemieślniczych Iris. Formy wzięte z natury utrzymane w stylistyce sztuki ludowej łączył ze współczesnym designem międzynarodowym. Niektóre z obiektów można oglądać na wystawie. Akseli Gallen-Kallela należał do prężnie działającej elity kulturalnej fińskich i szwedzkich artystów, pisarzy czy muzyków – był blisko zaprzyjaźniony z kompozytorem Jeanem Sibeliusiem, w Berlinie natomiast związany był z Edvardem Munchem, Augustem Strindbergiem i Stanisławem Przybyszewskim.

Grażyna Krzechowicz

SPEKTAKL-WIRÓWKA, CZYLI O WSPÓLNOCIE MIESZKANIOWEJ

Czescy twórcy, czy to pisarze, czy to reżyserzy, posiadają znakomitą umiejętność portretowania swoich rodaków, a już zwłaszcza przedstawiania ich w krzywym zwierciadle. Wystarczy przywołać choćby cykl czechosłowackich komedii z lat osiemdziesiątych w reżyserii Jaroslava Papouška, opowiadający o przeżabawnych perypetiach Homolków, typowej czeskiej rodziny mieszcuchów, czy pochodzący z wcześniejszej dekady film Oldřicha Lipskiego *Mareczku, podaj mi pióro*, ukazujący, jak spokojne życie dojrzałego mężczyzny, majstra Jiříego Kroupy, komplikuje się, kiedy rozpoczyna on naukę w wieczorowej szkole średniej. Czesi portretują społeczeństwo bezkompromisowo, eksponując wprost przywary swoich kra-

janów, dbając o autentyczność (prawdziwość), nawet jeśli, co w komedii jest dopuszczalne, przejawiają ich cechy czy postawy.

Konsekwencji w tworzeniu takich właśnie wizerunków nie są w stanie zaburzyć kolejne dziesięciolecia, przynoszące nowe sytuacje polityczno-społeczne. Czesi zdają się pamiętać, że człowiek jest tylko człowiekiem i że zmieniać się mogą okoliczności, ale nie on sam. Potwierdzają to *Vlastníci* (Właściciele), sztuka Jiříego Havelki (ur. 1980). Warto wspomnieć, że autor zmierzył się z własnym tekstem i wyreżyserował przed sześcioma laty film o tym samym tytule, angażując do współpracy gwiazdorską obsadę. Jego kinowy debiut okazał się kasowym hitem. Nagrodzony został ponadto trzema Czeskimi Lwami. Nic więc dziwnego, że zainteresowali się nim również polscy twórcy. Jako pierwsza po tekście Havelki sięgnęła Krystyna Janda. To jej zawdzięczamy polską prapremierę *Wspólnoty mieszkaniowej* (w przekładzie Michała Sieczkowskiego) w warszawskim OCH-Teatrze, dokładnie pięć lat temu. Drugą reżyserką, mierzącą się dzielnie z tą komedią satyryczną, w tym samym tłumaczeniu, jest Lena Frankiewicz. To jej adaptacja zważyła mnie 22 lutego na premierę do Wrocławskiego Teatru Współczesnego, po dość długiej nieobecności.

Dyrektorom teatrów nierzadko zależy na tym, by w repertuarze znalazły się spektakle, dzięki którym szybko wypełni się teatralna kasa. Zdarza się, że rezygnują z przedstawień ambitnych na rzecz naiwnych komedii, żeby nie napisać – infantylnych fars. To bardzo niebezpieczna tendencja. Szybki zysk kosztem poziomu przekreśla idee funkcjonowania teatrów repertuarowych. Za jedną

z nich można uznać choćby kształtowanie gustów publiczności. Nie twierdząc, że zupełnie powinno eliminować się przedstawienia schlebające gustom przeciętnych widzów, należy jednak zachować odpowiednie proporcje. W ostatnim czasie wrocławskie sceny teatralne nieco opustynniały. Spektaklu na wysokim poziomie artystycznym widzowie wyrobieni zaczynają pragnąć jak kanie dżdżu. Wrocławskie teatry nie mogą więc pozwolić sobie na obniżanie poprzeczki. Wyrobionych widzów nie da się oszukać. Z jednej strony więc informacja, że na scenie przy Rzeźniczej trwają przygotowania do wystawienia komedii Havelki, wzbudziła we mnie ogromny entuzjazm, z drugiej – uczucie trwogi. Bo co jeśli będzie to spektakl rodem z pewnego wrocławskiego farsowego teatru? Co jeśli z czeskiej sztuki zostanie tylko tytuł? A jeśli to tylko magnes, który ma przyciągnąć publiczność? Niepokój okazał się nie do końca słuszny.

Lena Frankiewicz, co trzeba zaznaczyć już na początku, nie uroniła ani kropli z czeskiego humoru, podając przy tym widzom jednak obrazek typowo polski. Tak, ten spektakl to obrazek, punkt wyjścia do dyskusji o kondycji człowieczeństwa w ogóle. Mam nadzieję, że nie jest to moja nadinterpretacja jako tego, który chciał wynieść z przedstawienia więcej niż zabawne dialogi. Spektakl jest wartki, logiczny, spójny, dopracowany w warstwie językowej i choreograficznej. Co do warstwy muzycznej, mam wątpliwości. Dlaczego właśnie ten rodzaj muzyki? Może dlatego, że forma komediowa jest tutaj swoistą maską, bo w gruncie rzeczy spektakl traktuje przeciwieństwo poważnych sprawach, a reżyserka doszła do wniosku, że lepiej mówić o nich groteską, gdyż są lepiej przyswajalne? Nie

wiem. Nie pasowała mi w każdym razie ta muzyka do całości. Aktorsko – profesjonalnie. Wykonawcy, wszyscy bardzo doświadczeni, odbijają słowa jakby grali w ping-ponga. Ich słowa to piłeczki, za którymi widz wodzi wzrokiem, czekając na to, co się za chwilę wydarzy. Niesamowicie skoncentrowani, czuwający nad swoimi kwestiami, w pełni świadomi, że wypowiedzi są następce i nieuwaga może doprowadzić do kompromitacji. Jeśli miały miejsce jakieś niedociągnięcia, były zupełnie niewyczuwalne. Nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że w tym spektaklu nie liczył się pojedynczy aktor, a cały zespół. Bez bystrej pracy zespołowej nie można byłoby mówić o powodzeniu przedstawienia opartego na tempie czy zręczności. O tym, że spektakl został przez aktorów przepracowany, świadczą sceny zbiorowe, zwłaszcza sceny kłótni, rozkręcające się jak spirale. To przedstawienie-wirówka: z bohaterów wyciskany jest sok, z tym, że nie nadaje się on do picia, bo mnóstwo w nim toksyn. Każdy aktor stworzył pełnokrwistą postać – zepsutą, niezdolną do budowania wspólnej przyszłości, przewrażliwioną na swoim punkcie, z natury agresywnej. Nawet jednak w tak pomyślanej inscenizacji nie sposób nie dostrzec aktorów, którzy wysuwają się na pierwszy plan. W mojej opinii spektakl należał przede wszystkim do Beaty Rakowskiej. Jej Roubíčková to postać doszlifowana do granic możliwości – niezwykle wyrazista, popadająca w skrajne emocje. Zdaje się, że Rakowska z pełną premedytacją przerysowała tę rolę, czyniąc swoją bohaterkę dziwaczną, doprowadzając ją, przez nadmierny formalizm, do paranoi. Aktorka potrafi bawić się parodią. W spektaklu jest mistrzynią karykatury.

Fabula nie jest skomplikowana. Oto widzowie są świad-

kami przygotowanego przez panią Zahradkovą, przewodniczącą zarządu, zebrania wspólnoty mieszkaniowej (w tej roli Anna Kieca – zaimponowała mi komediowym zacięciem, a także umiejętnością tworzenia bohaterki dynamicznej; niezwykle profesjonalnie szafowała środkami wyrazu). Organizatorka, w doskonałym nastroju, zadbała o poczęstunek, ułożenie stołów i krzeseł, z ogromnym entuzjazmem wita schodzących się na spotkanie sąsiadów. Jeszcze nie wie, że propozycja, z którą do nich wyjdzie, nie spotka się z aprobatą, i że doprowadzi, eufemistycznie rzecz ujmując, do nieporozumień. Do pomieszczenia, w którym w zasadzie rozgrywa się cała akcja przedstawienia, schodzą się kolejno lokatorzy (funkcjonalna, przejrzysta scenografia Michała Dracza – imitacja fragmentu domu wielorodzinnego – pozwala swobodnie śledzić każdy krok bohaterów; dzięki takiemu rozplanowaniu akcja może toczyć się równocześnie w dwóch, a nawet w trzech miejscach). Każdy z nich charakteryzuje się wyrazistą osobowością, każdy ma swoje pomysły, a tak naprawdę żadnemu z nich nie zależy na dobru wspólnym, ale na załatwieniu swojego interesu. Oczywiście, z szacunku do przyszłych widzów, nie pokuszę się o przedstawienie fabuły, a tym bardziej o ujawnienie wydarzeń ze sceny finałowej (w tym przypadku możemy chyba mówić o dwóch finałach – pierwszy ma miejsce wtedy, kiedy Zahradkova rezygnuje z zaszczytnej funkcji – to symbol końca starego porządku, drugi natomiast, kiedy do zarządu wchodzi Cermákové (Krzysztof Boczkowski i Krzysztof Zych doskonale wypadają w rolach biznesmenów, przejmujących kontrolę nad, jak się okazuje, niezdarnymi życiowo, żeby nie napisać – głupimi, lokatorami; grają kokieterystycznie, doskona-

le oddają charakter i metody działania współczesnych hochsztaplerów).

Być może to daleko idące wnioski, ale w spektaklu Leny Frankiewicz „wspólnota” jawi mi się jako alegoria naszego kraju, w której każdy lokator odpowiada obywatelowi. To tak naprawdę gorzka ocena naszych narodowych cech. Owszem, można się pośmiać, ale raczej przez łzy. Reżyserka ukazała przekrój społeczeństwa: skłóconego, często naiwnego, przedkładającego interes osobisty nad dobro wspólne, niezdolnego do ustępstw, momentami prymitywnego, zamkniętego na dialog, wulgarnego, uwikłanego w politykę, silniejszego mięśniami niż intelektem, protestującego dla zasady, pozorującego empatię i tolerancję. Gdzie szukać pocieszenia? W tym, że gdzie indziej jest podobnie? Trafną diagnozę uzyskali widzowie, ale żeby zrywać się do owacji na stojąco? Co to, to nie.

Grzegorz Cwiertniewicz

CDn (285)

Weather Report, Live in Berlin 1971. Joe Zawinul, fortepian elektryczny, fortepian; Wayne Shorter, saksofony sopranowy i tenorowy; Miroslav Vitouš, kontrabas; Alphonse Mouzon, perkusja; Dom Um Romão, instrumenty perkusyjne; oraz Eje Thelin, puzon; Alan Skidmore, flet, saksofony sopranowy i tenorowy; John Surman, saksofony sopranowy i barytonowy, klarnet. GAD Records 2023 (2 CD)

Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku *Zeitgeist* muzyki popularnej nie próżnował. Ale bo też właśnie zostały nagrane największe płyty w historii rocka, jazz

zaś pozostawał pod wpływem, choć może bardziej w cieniu nieżyjącego już Coltrane'a. Niektórzy spośród muzyków na różne sposoby nawiązywali do awangardy poprzedniej dekady, inni, jeśli można sobie pozwolić na taki skrót, rozglądali się, co dalej z jazzem. Ano tak: nawet już wtedy niekwestionowani mistrzowie, klasycy, jak Miles Davis, przynajmniej trochę zazdrościli rockmanom większej publiczności. Zespół tegoż Davisa występował wtedy jako suport przed innymi grupami, angażowanymi w roli większych gwiazd. Owszem, nie były to ekipy od macochy, niemniej jeszcze kilka lat wcześniej muzycy jazzowi spoglądali na rockowych z lekceważeniem. W każdym razie organizacyjne decyzje i zgody Davisa nie stanowiły skutku zapatrywań li tylko komercyjnych: Jimi Hendrix intrygował trębacza naprawdę, mieli nawet wspólnie coś nagrać, gitarzysta czekał w studiu, zrezygnował Davis (żeby nie skłamać, nie załatwiono jak trzeba kwestii jego wynagrodzenia).

No i w końcu właśnie Davis okazał się patronem jazz-rocka, prowadząc zespoły, które nagrały sygnowane jego nazwiskiem albumy *In a Silent Way* i *Bitches Brew*. Niektórzy z muzyków z tamtych sesji założyli potem własne zespoły grające *fusion*. Z półwiecznej już perspektywy dobrze słysząc, że jazzrockowe granie, podobnie zresztą jak rockowe, jest tak istotnie i naprawdę kwestią raczej lat niż dekad. *Weather Report*, zespół założony przez Joe Zawinula, Wayne'a Shortera

i Miroslava Vitouša (wszyscy grali wcześniej z Davisem, choć ten trzeci mniej) wydał płyty w latach 1971–1986. Podobno, tak przynajmniej twierdzi John Fordham, autor wydanego w Polsce przewodnika po jazzowych kompaktach, albumy *Weather Report* były oczekiwane równie gorąco jak kilka lat wcześniej nagrania *Beatlesów* (przekład Aleksandra Glondysa). Inna rzecz, że ów Fordham nie znalazł w swojej książce miejsca dla ani jednego longplaya *Weather Report*... Ta niecierpliwość wypatrywania dotyczy zresztą wcześniejszych tytułów, recepcji tych z okresu schyłkowego nie da się bowiem porównać z tamtym horyzontem oczekiwań odbiorczych. Natomiast Richard Cook i Brian Morton, twórcy nieporównanie bardziej obszernej i kompetentnej *The Penguin Guide to Jazz on CD*, omawiając kolejne płyty zespołu, uznali, iż tytuły wydane po rozstaniu się Zawinula i Shortera z Vitoušem (a był dopiero rok 1974) przypominają próbne sesje nagraniowe dla basistów i perkusistów. Żart wprowadzie nie dezawuuujący, lecz znamieny. *Zeitgeist* muzyki popularnej, aczkolwiek dziwne to dla ducha, szybko zaczął się dematerializować.

Wydana nie tak dawno w Polsce koncertowa płyta *Weather Report* nagrana została w pierwszej, najintensywniejszej artystycznie fazie działalności grupy. W muzyce tej mnóstwo się dzieje, a zarazem jest w niej dużo przestrzeni. Wprowadzie kompozycje i improwizacje przypominają